GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych

ROK V — W OBOZIE, DNIA 15 STYCZNIA 1944 R. — NR. 2 (82)

Polska odwaga

Naród polski okazał w tej wojnie odwagę. Okazało ją zresztą wiele innych narodów z brytyjskim na czele. Jednak odwaga Polaków, wyrażona wbrew wskazaniom, opartym na suchych liczbach i zestawieniach statystycznych, w walce z wielokrotną przemocą, w sytuacjach tragicznych i beznadziejnych, wydaje się niektórym umysłom czymś niepojętym, niespotykanym, wprost niemoralnym. Uznały one bohaterstwo, okazane przez Polaków, po prostu za objaw szaleństwa i obłędu, nawet za dowód niższości (że przytoczymy tylko Brytyjczyka Wellsa i Hitlera) rasy polskiej, jej pierwotności, prostoty, zaślepienia, krótko mówiąc — głupoty.

Poglądy te świadczą o dużej nieznajomości charakteru polskiego. Charakter ten stworzyły wieki doświadczeń, wojen i pokojów, zwycięstw i klęsk, triumfów i upokorzeń, niezwykłych wzlotów i poniżających upadków. Nauczyły nas one, że w tej części Europy może się utrzymać tylko naród odważny, naród, który będzie umiał przeciwstawiać się silniejszym, a w każdej okoliczności potrafi odrzucać panowanie przemocy nad sobą, nie tracąc ani na chwilę wiary w ideał wolności. Odwaga polska, choć jest cnotą dyktowaną przez instynkt, nie jest bezmyślna. Pochłania ona zbyt wiele tragicznych ofiar, by mogła być uważana za objaw lekkomyślności lub patosu. Odwaga polska jest prosta, jak proste są nasze prawa do życia. Jest ona wyrazem tej zasady naszej polityki ogólnej, która zaleca wiązanie się raczej ze słabszymi przeciw silniejszemu, a w każdym razie nie korzenie się przed kimś dlatego tylko, iż stał się on chwilowo silniejszym, a opór wobec niego wydaje się na razie beznadziejny.



Oto dlaczego nie było u nas i nie będzie quislingów w żadnym kierunku i w żadną stronę. Sporadyczne objawy, sprzeczne z tą zasadą, były dowodem bądź sprzedajności i zdrady, bądź oderwania się od pnia polskiego. Żaden fakt w historii naszej nie spotkał się z takim potępieniem, jak wspomnienie Targowicy. Dlatego, że naród wiedziony nieomylnym instynktem nigdy nie uznawał rozbiorów, nigdy się nie godził z niewolą i przemocą, a tych, którzy z braku charakteru szli na obcą służbę, potępiał i wykreślał z listy Polaków.

Odwaga polska nie jest przejawem chełpliwej brawury, ale wynikiem świadomej dyscypliny i wychowania narodowego, wysnuwającego nieodparte wnioski ze szczególnego położenia Polski. Wychowanie to uczy, że nie ma takiej okoliczności, w której można się uznać za pokonanego Wzrost siły wrażej wymaga jedynie większego napięcia odwagi. I to wszystko. W razie bowiem jej utraty, w razie ukorzenia się przed przewagą liczby, giniemy jako naród, jako odrębna społeczność europejska, skazani jesteśmy na roztopienie się w morzu obcości.

Oczywiście są narody, które mogą sobie pozwolić na sztukę przystosowywania się. W czasie tej wojny niektóre kraje bardzo przemyślnie postawiły od samego początku jednocześnie na wszystkie walczące strony po obu stronach frontu sądząc, że któraś z nich ostatecznie wygra i że przy takim czy innym zwycięzcy będzie można płynąć dalej, unikając większych strat. Okazało się, że Polacy takiej polityki prowadzić nie potrafią, tak dalece byłoby to sprzeczne z ich narodowym charakterem, wychowaniem i z pojęciami o własnych zadaniach historycznych. Ale nie potrafią tego czy-

nić nie z powodu szczególnych właściwości nieopanowanego rzekomo temperamentu, ale ze świadomej woli, z dokładnego rozeznania własnej sytuacji, z chłodnego przekonania, że w przeciwnym razie misja historyczna Polski i jej oblicze narodowe oraz indywidualność uległyby załamaniu.

Naród polski okazuje odwagę, fanatyczną nawet odwagę, mając jednak przed oczyma wyraźnie zarysowaną wizję Polski. Trzeba to jasno powiedzieć, że Polacy zachowują się dzielnie w tej wojnie nie dlatego, by zadziwiać cały świat i zbierać od niego poklaski, lecz by urzeczywistnić swój ideał Polski, zestrojony zresztą z ideałem wolnej Europy. Oto przyczyna również głębokiej ideowości wojska polskiego. Nie jest ono armią zaciężną, bezmyślną, bijącą się wyłącznie dla pochwały.

Gdyby żołnierz polski stracił wiarę w swój ideał Polski — Polski nie zaborczej, ale i nie pokrzywdzonej, Polski nie ujarzmiającej innych, ale ośrodka wolnych narodów — przestałby być odważnym.

Odwaga jest pierwszym i nieodzownym warunkiem naszego istnienia. Ale by była skuteczna musi być okazywana wszędzie. Gdyby odwadze czynu narodowego nie odpowiadała odwaga myśli politycznej — owoce bohaterstwa narodu polskiego mogłyby ulec zmarnowaniu. Nie trzeba jednak dodawać, że jeżeli odwaga czynu nie może być przejawem bezmyślności, tym bardziej odwaga myśli politycznej nie może być przejawem lekkomyślności. Odwaga musi być mądra, lecz mądrością dalekosiężną, a nie krótkowzroczną.

Wojna obecna toczy się na wszystkich polach i we wszystkich dziedzinach, nie tylko na polach bitew. Równolegle z działaniami wojennymi rozwijają się bezkrwawe działania polityczne. I w tych zmaganiach musimy uczestniczyć pamiętając, że wielkości czynu narodu polskiego odpowiadać musi wielkość jego koncepcji i działań politycznych, nie ograniczających się do stwierdzenia czego naród chce, ale urzeczywistniających każdego dnia w trudzie i znoju niemniejszym od tego, jaki Polacy okazują w walce zbrojnej, ową wyraźną, nie histeryczną, lecz całkiem przytomnę i świadomą wolę narodu. Nie byłoby istotnie nic gorszego dla naszej przyszłości, jak powstanie dysproporcji między wolą a wykonaniem, czynem a myślą, odwagą i charakterem w walce zbrojnej, a słabością i miękkością w walce politycznej*).

Arp.

*) „Orzeł Biały" (Śr. Wschód), nr 30, z 1. VIII 43.

Tu mówi Londyn...

Tu mówi Londyn. W mrocznej sali
kłębią się trzaski, szmery, głosy.
Lampa się żółtym światłem pali,
w kątach się żarzą papierosy.

Tu mówi Londyn. Fryburg słucha.
Przecież tam u nich coś się dzieje...
O szyby deszcz jesienny stuka,
o serca stuka puls nadziei

Tu mówi Londyn. Po co! Po co!?
Niechaj nas alarm zerwie nocą,
niech nas obmyją deszczów wody,
niech nas owieje wiatr przygody,
niech znajdziem pole krwi i sławy,
niech w rękach ciąży nam karabin,
niech się nadzieja ciałem stanie —
o Matko Boska, Chryste Panie! —
niech się wolności dzień zapłodni,
chcemy być wolni, życia godni!

Tu mówi Londyn. Nas nie cieszy,
że tam broń kują nocą ciemną,
że tam się dzieją wielkie rzeczy.
A ja? Co będzie ze mną?

Z. E. (Fryburg)

UCIECZKA*)

— To już chyba zacznę od czasu, jakem był na służbie w kałuzkiej gubernii... --- począł Jan, wyjął tabakierkę i z szerokim uśmiechem spojrzał na otaczających.

— Rozumie się... rozumie się! --- zawołali wesoło i stół dookoła obsiedli.

--- Bo to widzicie panowie, kiedy nas, Polaków w 63 roku po lasach połapali, to co starsze a uczone, albo powieszą, albo do katorgi skarzą, a co młodsze i z prostych, to wywozili do pułków w głąb Rosji. I zebrało się rychło w każdym pułku, w każdej rocie naszych po kilku i więcej. I bardzośmy się z pierwonaczału drużno[1]) trzymali. Szanowali nas i bojeli się nie tylko żołnierze, ale nawet oficerowie. Sam pułkownik Lewczenko, chochoł (Ukrainiec -- P.R.) był, zawołał nas raz po smotrze[2]) i mówi:

»Dziękuję wam, dzieci, żeście się dobrze sprawili, ale proszę: siedźcie cicho! Ja sam polsku grudź sosał[3]) --- rozumiem, lecz wszystko przepadło, więc upokorzcie się«.

I kazał nam dać po półkwaterku wódki i po połtynie[4]) na brata. Upokorzyć się! Łatwo powiedzieć... ale jak? I nie żeby służba... broń Boże... Po tej naszej w lasach poniewierce, zdała się ona nam lekką jak piórko. A byliśmy wszystko chłopcy chwackie, młode, wybór... Musi być: zuchy i zręczne, kiedy nas kule w tylu bitwach nie trafiały. Nie służba dolegała nam, a tęsknica! Jak się uczepi, ssie człowieka, niby serce schwyci ropucha! I od tego wszystkiego --- pobijesz się z Moskalami w szynku, albo włóczysz się bez pozwolenia gdzie po polach dni kilka!... Więc karają: w żurnał śtrafny[5]) zapisują; do hauptwachy sadzą, dyżurstwami męczą. Znosiliśmy cierpliwie i nadsłuchiwali, czy nie idzie wieść o powrocie. Rozmaicie gadali; co dnia nowina i coraz inna --- to powiadają, że wszystkiemu koniec, to, że nasi górą, jeńca dużo wzięli i mieniają na swoich. A tymczasem wieść gruchnęła, że cała rota naszych, podrobiwszy papiery, drapnęła do Polski z amunicją i bronią... Tu już nikt usiedzieć nie mógł. Zbieraliśmy się po kątach i po cichu naradzali. Zaczęli nas strzec, bo pojedyńczo, z różnych batalionów gęsto zmykać zaczęli. Więc z obozu, z koszar ni kroku, nawet na wartę Polaków nie posyłali za miasto.

A był w naszej rocie[6]) niejaki Szmit. Mówił, że Polak!... Szmit, niechaj Szmit! W miasteczkach naszych często ludzie niemieckie noszą nazwiska, a przecież szczere są Polaki... Za takiegośmy go mieli, tylko później okazało się, że... z kolonistowskich był dzieci!... Ale na pozór zdawał się chłop niczego... Nawet więcej: mieliśmy go za pierwszego: wycirus, spryciarz, czy wyłgać się, czy figla spłatać,

*) Urywek z opowiadania pod tym tytułem.
[1]) Początkowo zgodnie, [2]) przeglądzie, [3]) polską pierś ssałem, [4]) pół rubla (50 kopiejek), [5]) księga kar. [6]) kompanii

Spotkanie na Atlantyku



Startowaliśmy po raz pierwszy w dziejach dywizjonu na osłonę konwoju. Rozkaz brzmiał: osłaniać statki przed okrętami podwodnymi. Podano nam pozycję, skład i inne dane, z podkreśleniem naszego głównego zadania, czyli osłony owego konwoju przed atakami okrętów podwodnych.

Pogoda była piękna i widoczność wspaniała. Lecąc wzdłuż brzegów podziwialiśmy ich piękno, uwypuklone promieniami słońca. Potem zmiana kursu i ląd znikł w oddali. Po dwóch godzinach lotu dojrzeliśmy na horyzoncie sylwetki okrętów. Podchodzimy z przodu, podając swoje znaki. Odpowiada: podejść! Zbliżamy się i oznajmiamy o współpracy z nimi. Robiąc okrążenie przyglądamy się składowi »naszego« konwoju, dochodząc do wniosku, że musi on transportować bardzo cenny materiał, skoro oprócz ochrony okrętów wojennych ma jeszcze dodatkową osłonę samolotu.

Krążąc przy nich i nad nimi staramy się rozpoznać numery i litery. W pewnej chwili zaczyna wśród nas krążyć lornetka. Na jednym z kontrtorpedowców powiewa polska flaga... Podchodzimy jeszcze bliżej. Teraz już całkiem wyraźnie widać nawet białego orła na tle czerwonej tarczy.

To polski kontrtorpedowiec!

Ale który? Litery i numery nie zdradzają nazwy. Zaczynamy zgadywać, potem uzgadniamy, że najprawdopodobniej będzie to »Błyskawica«. Intryguje nas silnie, czy i oni dostrzegli polskie szachownice na naszym samolocie. Chyba nie, bo przecież są one — takie małe... Ogarnia nas uczucie, można powiedzieć dumy, że w pierwszym naszym starcie na osłonę konwoju ochraniamy nie tylko statki Sprzymierzonych, ale i polski okręt, będący na tych falach suwerenną częścią Rzeczypospolitej.

Wychodzimy przed okręty i dajemy maksymalny wysiłek naszej obserwacji. Wypatrujemy wszyscy! Atlantyk jest dość spokojny i najmniejszy peryskop nie ujdzie naszego oka. Muszą płynąć spokojnie, bo przecież na górze samolot z polską załogą patroluje ich drogę.

Czas jakiś robimy duże okrążenia, aby wypadkiem jakiś korsarz nie zaskoczył z boku — i znów wracamy do przodu. Spoglądając na fale jednocześnie musimy obserwować niebo, aby się nie dać zaskoczyć wrogim s molotom. I tak przez cztery godziny. Potem zjawia się samolot, mający nas zmienić. Robimy zdjęcie konwoju i zwolna, jakby niechętnie, zaczynamy się oddalać, nadając jednocześnie sygnał, proszący o podanie położenia okrętów. Wydaje się nam, że zbyt długo czekamy na odpowiedź i nadajemy depeszę otwartym tekstem po polsku:

»Podajcie nam swoją pozycję!«

Za chwilę odpowiadają:

»Witajcie, bracia Polacy!«

Nie czekamy już teraz na podanie pozycji konwoju, nadając znów po polsku:

»Czołem koledzy-marynarze! Odlatujemy!«

Zawracamy i wkrótce tracimy konwój z oczu. Drogi nasze są inne, aczkolwiek obydwie mają wieść do Polski.

Po powrocie do bazy dowiadujemy się, że nasze przypuszczenia co do nazwy polskiego okrętu okazały się trafne.

Przez jakiś czas byliśmy trochę zaniepokojeni, aż wreszcie przyszła wiadomość, że eskortowany wówczas przez nas konwój dobił w całości i szczęśliwie do miejsca przeznaczenia.

(Na podstawie opowiadania kpt. M.) *Wład. Leny*

---

czy władzy, jak przystało odpowiedzieć... Z jego to porady przyczailiśmy się, zrobili posłuszni, sprawni, a po cichu odkładaliśmy pieniądze, zbierali suchary i raz, kiedy do łaźni nas puszczono, wzięliśmy zamiast bielizny nasze tobołki i hajda!... Ośmiu nas drapnęło od razu! Całą ruszyliśmy partią! Przez puszcze, przez gąszcze, przez bagna i topiele, unikając ludzi, omijając sioła, przedzieraliśmy się nocami niby wilki do tej Polski... Szmit kalkulował cokolwiek w mapach, były między nami leśniki, więc szliśmy po gwiazdach[7]). Długośmy tak wędrowali szczęśliwie, aż zjedliśmy suchary i trza było zachodzić do wiosek, aby chleba kupić... Tu się prawdziwa rozpacz poczęła: co który pójdzie, to rzadko wróci! Mowa nas zdradzała! Gdy pierwszy raz ujrzeliśmy z ukrycia, jak mużyki[8]) naszego związanego prowadzą na wieś, chcieliśmy się rzucić, spalić ją i chłopca odebrać. Umitygował nas Szmit, dowodząc, że nie godzi się za jednego człowieka tylu nieszczęśliwych robić... Och, szelma ten Szmit. Uradziliśmy chodzić po chleb z kolei losu, a z tym, co odchodził, żegnali się niby ze straconym. A kiedy wracał to radość: czapki o ziemię, ura! uściski, bankiet... Im dalej jednak, tym gorzej się działo. Kilkakroć trafialiśmy na wojsko, ale wymykali się. Raz drwale chcieli nas zabrać wszystkich, ale oparliśmy się im, siekiery od nich odebrali i samych powiązali, choć ich było więcej... Do wiosek, gdzie gmina, ani marzyć pokazywać się. Szliśmy głodując, żywiąc się korzonkami i szczawiem... I ot w taką to chwilę porzucił nas Szmit! Wstaliśmy ze snu pewnego ranka, a naczelnika naszego nie ma — zemknął! Pieniądze, mapy, papiery, nawet rzeczy co lepsze zabrał i znikł. Z początku zbaranieliśmy... Dokąd się podziać, gdzie się zwrócić, nic nie wiemy, bo on za nas myślał... Ci mówią — Moskalom się poddać, owi — zdrajcę ścigać, inni — wlec, ile sił starczy. Jeden to się nawet z tej rozpaczy powiesił... Odszedł w milczeniu na ubocze i nimeśmy gadać skończyli — gotów. Tu mię taka zgryzota wzięła, że palce na postronku trzymając, przysięgłem zdrajcę spod ziemi dobyć, a nie przebaczyć... I cóż wy na to: myśmy go przecie złapali... Szedł sobie ścieżynką wśród zboża, węzełek na kiju niósł, kłosy, co mu się pod rękę nawijały, spokojnie rwał i ziarna do gęby kładł... Jakby nigdy nic... Piosenkę sobie z cicha nucił... Ażeśmy ukryci w trawach wstali...

Zbielał jak widmo, jak kreda; milczał i tylko rękę przed siebie wyciągnął, niby nas odpychał!... A my... — tu pan Jan znacząco się uśmiechnął i wolniej niż zwykle sięgnął do kieszeni po tabakierkę. *Wacław Sieroszewski*

[7]) według gwiazd, [8]) chłopi.

Wszystko się dziwnie plecie na tym biednym świecie;
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie i nie będzie umiał w to ugodzić.

(Kochanowski, wiek XVI)

PISZĄ O NAS

WSPOMNIENIA WARTOWNIKA

Pierre Girard tak opisuje na łamach »Gazette de Lausanne« z 2. 12. 43 swoje wspomnienia z obozu polskich żołnierzy internowanych:

»Nie jest wcale miło być wartownikiem swoich braci. Wspomnienia, które pozostawiło mi lato, lato walezańskie, spędzone nad brzegiem Rodanu, gdzie gorący wiatr zdawał się wiać z pustyni, są pomieszaniem piękna i goryczy. Warta szwajcarska --- jak ją nazywają --- miała obowiązek przestrzegania karności w obozie internowanych żołnierzy polskich. Mieliśmy do czynienia z internowanymi, a nie z jeńcami. Ale oni byli Słowianami my zaś genewczykami, ludźmi Zachodu w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nasza melancholia i gwałtowność nie ma nic wspólnego ze stepem lub bałałajką*).

Czasami przed naszą obowiązkową surowością nasi polscy przyjaciele wzruszali ramionami i śmiali się z pogardą, --- pogardą, która nie tyczyła nas, lecz w ogóle życia.

*) Polska melancholia i gwałtowność również nie ma nic wspólnego ze stepem i bałałajką. Tych ostatnich autor miłego artykułu nie znajdzie w Polsce, lecz daleko na wschód od jej granic — w Rosji. (Przyp. Redakcji).

Dwaj żołnierze, twarzą w twarz, jeden uzbrojony, z nabitym karabinem, drugi bez niczego. Dokładnie bez niczego, nie licząc własnego bardzo przyzwoitego munduru i siennika w domkach z drzewa, które zwą barakami (jeden z tych baraków nazywano czarną trumną). Ojczyzna? --- sztandar, obraz święty. Rodzina? --- fotografia w portfelu. Ale pozostał honor, honor żołnierski. To może im zastąpić wiele rzeczy. Kiedy pozdrawialiśmy polskich oficerów, jak tego wymagały przepisy regulaminu, kiedy meldowałem się kapitanowi jak to robić należało, kiedy prezentowaliśmy broń dla oddania honoru ich oddziałowi, idącemu w niedzielę do kościoła na mszę — miało to wszystko wysokie znaczenie. Dla nich. Dla nas. Ponieważ my, Szwajcarzy, mamy rzadko do czynienia z żołnierzami obcymi, mieliśmy jednak możność odkrycia tego braterstwa, o którym słyszeliśmy.

Ci Polacy, co za wspaniali woźnice! Budowali drogę, wożąc bezustannie duże kamienie na wozach. »Moje konie nauczyły się szybko po polsku« --- mówił mi filuternie jeden z internowanych, który je prowadził. Nigdy ich nie bił, nigdy nie klął, obchodził się z nimi delikatnie, smukły i prosty jak woźnica starożytnego rydwanu. Śpiewał piosenkę swego kraju, taką, jaką by śpiewał tam na północy, gdyby nie było się nic wydarzyło. Był on spokojny jak filozof.

Ach, jak mi żal uchodźców cywilnych! Widziałem ich tylko z daleka, nie mógłbym o nich mówić, jest jednak pewnym, że ich nieszczęście jest hańbą i sromotą tej wojny. Najgorszą jest rzeczą być traktowanym niegodnie.

Grzeczność zaś jednego żołnierza wobec drugiego jest wielkim pokrzepieniem. Żołnierze ci zmuszeni byli wycofać się pod naporem nieprzyjaciela, pozostali jednak razem ze swoimi dowódcami. Uchodźcy zaś cywilni, wypędzeni w gromadach, oddzieleni jedni od drugich, szukali u nas przede wszystkim schronienia i pocieszenia. *PIERRE GIRARD*

OD REDAKCJI

PODZIĘKOWANIE. Wszystkim instytucjom obozom, jak również pojedynczym osobom, które nadesłały życzenia świąteczne i noworoczne, Redakcja »Gońca Obozowego« składa serdeczne podziękowanie.

DODATEK LITERACKI. Poczynając od nr 23 (79) »Gońca Obozowego« zaznaczył się mały napływ dodatku literackiego, zwracanego nam przez poszczególne osoby oraz prenumeratorów prywatnych. Prosimy o numery 5 i następne! Jednocześnie chcielibyśmy zwrócić uwagę, że znaczna część zwracanych dodatków jest odsyłana w stanie pozwalającym na przypuszczenie, iż nie była przed tym czytana. Otóż istotnym zadaniem tych dodatków jest to, by były c z y t a n e w obozach, a dopiero potem odsyłane nam do dalszego użytku.

*

A. C. Hünenb. --- Wykorzystamy. Ze względu na drażliwość tematu obawiamy się trudności, ale zrobimy co będzie można.

PAPUGA X, Baden. --- O tych »duchach w sienniku« zamieścimy. Prosimy pisać do nas częściej, byle opowiadania te nie były takie długie. Może napisze Pan do »Gońca« coś o swojej pracy u gospodarza?

A. K., Oberb. --- Za list dziękujemy. Cieszymy się, że powodem pseudonimu nie była nagminna, jak się wydaje, u nas ostatnio choroba ukrywania się przed odpowiedzialnością za słowo pisane. Materiał o śp. kpr. Wieczerzaku wykorzystamy. Może by Pan napisał coś o życiu i pracy żołnierzy w waszym obozie?

RYSZARD JAREMA i pdch. T. Bł. (autor „Na wariata") proszeni są o bezzwłoczne podanie swoich adresów do redakcji „Gońca" celem przesłania egzemplarzy autorskich kalendarza żołnierskiego „W marszu".

NASZ PORADNIK

Pomoc witaminowa dla dzieci we Francji

Podobnie jak w roku ubiegłym, rozpoczynamy a k c j ę w y s y ł k i l e k a r s t w w i t a m i n o w y c h (Vi-De i Eedoxon lub Adexoline) w cenie Fr. 14.— za paczkę. Ponieważ wysyłka paczek odbywa się za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz francuskiego Czerwonego Krzyża, przeto ewentualne reklamacje w razie niedojścia przesyłki możemy kierować jedynie pod adresem tych instytucyj.

Pieniądze przesyłać należy białym czekiem pocztowym pod adresem redakcji z podaniem na prawym odcinku dokładnego adresu odbiorcy we Francji. Zwracamy uwagę, że n i e n a l e ż y wpłat dokonywać zielonym czekiem na adres oficera prasowego.

Posrednictwo Miedzynarodowego Czerwonego Krzyza

W związku z zapytaniami, skierowanymi do nas przez Czytelników wyjaśniamy, że do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie można i należy zwracać się w języku polskim. Przypominamy adres: Agence Centrale des Prisonniers de Guerre, Genève. Między innymi ze spraw, które nas interesują, należą do zakresu działań tej instytucji: poszukiwanie rodzin wojskowych i cywilnych, pośredniczenie w korespondencji (do 25 słów) itp.

NASZE SYLWETKI

Edzio - szofer

Przyłączyłem się do nich na rumuńskiej stronie. Zabrali mnie chętnie. Otoczyli opieką. Edzio oddał mi się całym sercem. Żyje on dlatego do dziś dnia w mej wdzięcznej pamięci.

Wyruszyliśmy wcześnie rano i na pełnym gazie. Kilometry uciekały z nieprawdopodobną szybkością po przyzwoicie utrzymanej drodze, która później stała się autostradą. Samochody sunęły za sobą gładko, silniki pracowały swobodnie jak płuca po długim oddechu i nieprzerwanie zjadały przestrzeń, ziejąc poza siebie spaliną.

Autostrada prowadziła do Bukaresztu i była jeszcze odcinkami wykańczana. Tu i tam pracowały na niej walce i budowały się nowoczesne mosty z żelbetonu. Nim zajechaliśmy do autostrady, wstrzymał nas jeden z takich mostów, będących w budowie. Wyręczał się starym, ten zaś obliczony był na woły, a nie na ciężkie maszyny. Prowadził ponad głębokim jarem. Wydłużyły się nam twarze. Jak to: tym trzęsącym się od starości mostem mamy przejechać autami?

Inżynier-Rumun, kierujący budową nowego mostu, zezwalał przejechać tylko małym maszynom, ale nasz wóz? Ani mowy! Był to olbrzymi wagon ruchomej poczty (używano go na wszelkich zjazdach i większych uroczystościach, ostatnio widzieliśmy go na FIS'ie w Zakopanem). Według Rumuna należało objechać ponad trzydzieści kilometrów, by dostać się na drogę do Ploesti. Lecz mimo jego sprzeciwu kierowca wozu postanowił:



— Jechać przez most i basta!

Nikt nie śmiał się sprzeciwić. Na pierwszy ogień poszły małe wozy. Przeszły. Później pojedynczo ruszały i przejeżdżały większe. Most giął się, prężył pod ich ciężarem, choć jechały bez obsady, tylko z jednym szoferem. Każdy wóz jechał wolniuteńko po moście, ludzie zaś, stojąc po przeciwnej stronie, śledzili oczami z wstrzymanym oddechem poruszanie się kół i poddawanie się okrąglaków na moście. Oddychali z ulgą dopiero gdy przejechał.

Teraz został już tylko nasz wóz.

Inżynier, zobaczywszy że olbrzym chce jechać, uparł się iż nie puści. Kierowca jednakże z jego »urzędowania« nic sobie nie robił. Rumun odradzał i złościł się. W końcu machnął ręką i odszedł. Mogło to oznaczać: albo że nie bierze na siebie odpowiedzialności (»niech jedzie na złamanie karku!«), albo że z Polakami trudno się dogadać. Stanął więc opodal przy budowie i zapewne był ciekaw końca. I myśmy też odradzali, lecz na upór nie ma lekarstwa.

Nasz wóz ważył chyba co najmniej tyle, co pięć pierwszych samochodów. Ruszył na most. Wszyscy zbledli. Chciałem jeszcze przemówić Edziowi »do rozumu«, ale mi odpalił:

— Doradców nie było, jak zostałem pod gradem bomb sam z wozem i jak prowadziłem go cały czas w Polsce w czasie nalotów, a teraz doradcy są? A może go tu zostawić, jak mi radzili w Polsce? O, nigdy! Jestem szoferem!

Był blady ze wzruszenia. Rozumiałem go: tam, w Polsce, wszyscy pocztowcy opuścili wóz i woleli iść pieszo.

Poszedłem naprzód mostem, by wybadać, której strony trzymać się pewniej. Choć w ten sposób chciałem mu okazać, że jestem przy nim i z nim.

Rumuni przerwali prace i patrzyli.

Zaczął powolutku staczać się na okrąglaki. Ugięły się pod przednimi kołami; tylko ugięły się — nie puściły! Oczy kierowcy dziwnie zaszkliły się, jakby w nich rozgorzały jakieś ogniki. Powoli, cal za calem, obracały się koła. Uginają się belki i wyprężają, falują okrąglaki jak pod wałkiem ciasto, uchodzą i skrzypią, pionowe podpory i słupy wciskają się w ziemię i poddają w klamrowych spojeniach, zda się lada chwila trzasną, nie wytrzymają.

Wszyscy oddech zaparli, wyciągają dziwnie szyje i idą za nim wzrokiem. Wóz, jak ślimak olbrzymi, sunie i za chwilę będzie na środku, na największej rozpiętości łuku. Lepiej nie patrzeć. Kobiety w samej rzeczy przymykają oczy. Edzio? Mało blady: — zielony. Oczy mu tylko niesamowicie płoną. Już jest na środku. Jeszcze metr. Dalej! Przynaglają go w duchu do szybszej jazdy — nasi i Rumuni. Czuję to z ich oczu. Sam to zresztą też czynię. Jeszcze metr! Jeszcze!... Już jest na drugiej połowie. Powoli się toczy, powoluteńku... Jeszcze! Jeszcze!! No, szybciej nieco! Dodać gazu! Chyżej! Gdy spadnie, już nie poleci tak wysoko, jar tu już płytszy. No, jeszcze trochę gazu!

Czuje te nieme nawoływania sam kierowca, bo rusza pewniej. Prostują się powoli ludzkie postacie w miarę jak wóz dobija do skraju mostu. Edzio już oddycha, choć jeszcze kurczowo trzyma się kierownicy, ale rumieńce wracają wolniutko na twarz i znika dziwny błysk oczu. Przejechał.

— Edzio brawo! Kawał zucha z ciebie! — wołam.

Przechodzą piesi. Rumuni wracają do przerwanej pracy. Podchodzą kierowcy innych wozów.

Opuścił kierownicę i wysiadł. Odetchnął. Po chwili zbliżył się do motoru i przyglądał mu się długo. Później zamknął maskę, a wziąwszy spod siedzenia szmatę, obchodził cały wóz dookoła i ocierał wszystkie zakurzenia, jakby go gładził. Kawałkiem

zamszu wytarł okna, odkurzył. Patrzał na auto z taką lubością, jak jeździec na swego konia; wycierał z taką starannością, jakby wóz był spocony długą jazdą, przez most najbardziej. Zaglądał pod spód na uresorowanie, próbował opon i pod siedzeniem, słowem wszędzie. Zabrał się do orła białego na bocznej ścianie i, chuchając nań bez przerwy, wyczyścił na połysk, jakby mu chodziło o to, aby jak najdłużej błyszczał. Dumny był ze swego wozu.

Często za tę jego staranność wyśmiewali się z niego koledzy po fachu. Niańczył ten swój wóz jak niańka dziecko. Kłócił się niemal z każdym, kto nie dość uważnie trzasnął drzwiami albo zarysował lakier.

I teraz było nie inaczej, bo ludzie jak ludzie. Szoferzy z drwinkami i złośliwym uśmiechem przyglądali się tym »jego cudom«, jak nazywali poczuwanie się kolegi do obowiązku. On robił swoje, jak uważał za stosowne. Przemawiał przy pracy do siebie jakby do wozu. Głośno myślał i co czuł — prosto w oczy rąbał. Na docinki rzadko odpowiadał; jakby ich nie słyszał, jakby nie imały się go.

Gdy skończył boki, poszedł do przodu, tam gdzie powiewały dwie biało-czerwone chorągiewki, i poprawił je, aby się trzymały prosto. Już zamierzał usiąść przy kierownicy, lecz jakby teraz dopiero przypomniał sobie docinki kolegów.

— Wy się śmiejecie i nie wiecie z czego. Mnie nad tym wozem powierzono opiekę, na nim tyle czasu jeździłem i wciąż wygląda jak nowy, bo o niego dbam. A wy coście zrobili ze swoimi? Wy nie macie już co czyścić, bo na nic by się to zdało. Ja się nie wstydzę jechać swoim wozem. Niech ktoś z was powie to o sobie. Niech ktoś z was sprobuje jechać wozem, proszę! Ja się już męczę tyle tygodni, a czy kto zdobył się, by mnie zastąpić? A przecież tylu wśród was szoferów rezerwowych, którzy nie prowadzą wozów, bo wozów nie mają! Wiem dlaczego: za ciężko, no i boicie się mojego wozu. Ja się nie boję. On jak moja własność. Wyprowadziłem go z największego ognia, choć wielu z was zostawiło swe lekkie wozy po drodze. Prowadzę go i teraz i dbam o niego mimo niemądrych waszych drwin. To wóz polski — nasz. Przez was przemawia zazdrość. Wy nie drwicie ze mnie — wy drwicie z siebie! Ja jestem kierowca z zamiłowania, a wy tylko... (nie dokończył). Żal mi wozu, ale już dość mam tej jazdy! Doprowadzę go do celu i oddam, jak każą nasi... Chyba, że mi dalej jechać każą... Most ten zadecydował i wy: nie będę szoferem! Po ziemi, gdzie tyle gałgańskich dróg i takich mostów, żadna jazda. Jak będzie można, jeśli się uda, pójdę na lotnika. Gdyby tylko chcieli wziąć. Taki człowiek jest panem swoich dróg.

Przerwał. Po chwili rzucił pytanie.

— Kto z was chce mój wóz?

Nie było odpowiedzi i nie było takiego, co by dobrowolnie na siebie chciał przyjąć trud nielada.

Widziałem, że był rozgoryczony. Nie wiem, jakie koleje życia pchnęły go na szofera, wiem jednak, że mu było można zawierzyć i swoje życie i swój wóz. O wozie państwowym nigdy inaczej nie wyraził się, jak »nasz wóz«. Dla niego co było państwowego — było i jego, w najlepszym tego pojęcia znaczeniu. U niego nie było: „Bo to państwowe, więc można zniszczyć, ukraść“. W tych słowach „mnie go powierzono“ wypowiedział cały swój stosunek do wozu, a tym samym do państwa. Odnosił się z pogardą do swego życia. zdolny był je ryzykować, choć życie innych tak bardzo cenił. Co robił — wszystko na trzeźwo. Nigdy go nie można było skłonić do picia. Razu pewnego, gdy go inni kierowcy namawiali za bardzo, ze złością wypalił:

— Szofer musi być trzeźwy przy motorze. Szofer pijany — to bydlę! Takiemu odebrałbym raz na zawsze prawo jazdy i niech idzie świnie paść! Tam nikomu krzywdy nie wyrządzi, co najwyżej sobie.

Zastanawiałem się: czemu jednak pojechał po moście, skoro swój wóz tak szanował? Mógł z nim runąć w przepaść i... A później tak go obcierał i czyścił, jakby mu go było żal? Czy chciał tym zadokumentować wobec szoferów, iż się nie lęka? A może chciał tak uczynić jak z samolotami uczyniło kilku naszych lotników, aby nie oddać? Świadczyły o tym strzaskane ich kadłuby po polach i wzgórzach pod Storożyncami.

Lubiłem patrzeć na jego krzątanie przy wozie. Każdą wolną chwilę spędzał przy nim. Sypiałem w jego wozie. To była moja kwatera. Z wojskowego przebrałem się za półpocztowca, a on mnie chronił.

Chodził i teraz koło swego wozu i mamrotał:

— Gdybyśmy byli jednak pojechali prosto do Turnu-Severin... Zachciało się im do rumuńskiej stolicy.

Nie chciało mu się ruszyć z miejsca, choć wóz wypełniony był po brzegi i naglono do odjazdu. Oporządzał wóz i spokojnie odpowiadał:

— Jak się komu spieszy oglądać cudzą stolicę — to ma drogę wolną. Piękną autostradą może być prędzej, jak mój wóz.

Nie ruszali się i inni szoferzy. On, jak by w tej chwili przywódca, zabrał się do chorągiewek na nowo. Chyba każdy z obecnych odczuł moralny policzek, jaki słowami tymi wymierzał. Stał chmurny obok swego wozu i przy biało-czerwonych chorągiewkach, jakby się namyślał nad czymś. Może myślał w tej chwili o kochanej żonie i synu i droższej ponad wszystko Polsce? Krótki skurcz zarysował się na twarzy i zamglił zawsze energiczny wzrok. Żachnął się, jakby otrząsł z zimna, i poszedł ku kierownicy. Usiadł i dał sygnał. Ruszyli szoferzy. Jakby im przypomniał, że czas w drogę.

Jechałem w jednej z dwu kabin telefonicznych. Tam można mnie było zamknąć na amen i żaden Rumun nie zajrzał. Już nie widziałem twarzy Edzia. Silnik zawył, spaliną dmuchnął po kilka razy i ruszył. Zaczął grać na motorze, jak mistrz: raz wydobywał długie tony, to znowu urywane, krótkie, w końcu dobył przeciągłych gam i zaczął grać coraz szybciej. Wóz szedł jakby z wiatrem, a nie po ziemi, sunął po gładkim asfalcie, jak płynie po sali balowej tanecznica. Na zakręcie zawinął i znowu pędził, pędził nieprzerwanie. Kierowca próbował siły motoru, jak pilot w samolocie. Przed nim rwało kilka mniejszych wozów. Zaczął je wymijać. Gdyby tak któryś prasnął! Tę jego wyższość czuli szoferzy i wczas na sygnał zjeżdżali z drogi. Tak bez mała wszystkich wyminął i gnał naprzód »niezwyciężony« — nie było mu równego na rumuńskiej ziemi — ten pierwszy polski Fiat. Z dala migały biało-czerwone chorągiewki i biały orzeł, polski symbol państwowy, świecił śnieżną białością na czerwonym polu w blaskach słonecznych.

— — — — — — — — — — — — — —

Ostatnio pisał mi z Anglii: »Drogi, ciesz się! Zabiorę cię po drodze. Nie tak jak niegdyś... Ale popędzimy! Równo z wiatrem. Na skrzydłach naszych tęsknot — ku swoim. Dawniej mogłem tylko w marzeniach... Czy wiesz jak to bosko choć czasem...? Spróbujemy po drodze. Edzio«.

Tymi słowy kończył się jego list. Wiem, że jak dobrym był szoferem, tak jeszcze lepszym jest lotnikiem.

A. K., strzelec (Leysin)

WIEDZA O WOJNIE

O POCISKACH RAKIETOWYCH

Pisząc ostatnio o zapowiadanej niemieckiej »tajnej broni«, daliśmy wyraz przypuszczeniu, że mogą to być takie czy inne pociski o napędzie rakietowym. Uprzedzając zapytania Czytelników, podajemy tym razem nieco wiadomości o tego rodzaju pociskach, zwanych także reakcyjnymi.

Zasadnicza różnica między zwykłym działem a miotaczem rakietowym jest następująca: Siła, powodująca lot pocisku działowego, ma swe wyłączne źródło w wybuchu ładunku prochowego w komorze zamkowej działa; cały tor pocisku wynika z mocy tego ładunku jako też z długości lufy, która potęguje działanie gazów miotających. Natomiast pocisk »reakcyjny« zawdzięcza swój lot kolejnym wybuchom umieszczonych w nim samym rakiet napędowych, a szybkość jego, mała przy wylocie z lufy, stopniowo rośnie — co jest odwrotne jak u zwykłego pocisku.

Pociski rakietowe są wynalazkiem równie starym jak proch strzelniczy, ale broń palna nie poszła tą drogą. Wprawdzie Anglicy posługiwali się dość skutecznie artylerią rakietową wynalazku gen. Congreve pod koniec wojen napoleońskich, ale później broń ta poszła w zapomnienie wobec szybkiego rozwoju artylerii działowej (lufy gwintowane, zamki odtylcowe, proch bezdymny, odrzut lufy itd.). Natomiast próbowano około r. 1930 z dobrym nawet skutkiem zastosować napęd reakcyjny do samochodów i szybowców (Opel w Niemczech). Konstruktor tych pojazdów potrafił osiągnąć duże szybkości, ale nie zdołał rozwiązać sprawy ciągłości biegu, gdyż zapas rakiet wystarczał zaledwie na kilka minut podróży. Co do broni rakietowej, pojawiła się ona jako skuteczne narzędzie walki dopiero w wojnie obecnej. Napęd rakietowy pozwala na znacznie prostszą budowę i bez porównania mniejszy ciężar sprzętu miotającego, gdyż jego lufa służy jedynie do nadania pociskowi kierunku na pierwszym odcinku jego toru.



Niemieckie miotacze rakietowe, zdobyte w Tunisie

Pierwszeństwo zastosowania nowej broni pocisków rakietowych przypada wojsku sowieckiemu, które w r. 1941 wprowadziło w użycie miotacz, nazwany przez Niemców »organami Stalina« (Stalinorgel). Składa się on z jednego szeregu równolegle ułożonych luf, umieszczonych na gąsienicowym podwoziu. Niemcy rychło przejęli ten najwidoczniej udatny pomysł, tak iż w zimie 1942/43 pojawiły się na froncie w Tunisie pierwsze »Nebelwerfer« czyli miotacze mgły, — tak nazwane, ponieważ tor pocisku znaczony jest obfitą smugą białego dymu. Sprzęt ten składa się z 6 rur ułożonych albo w 2 szeregach po 3, albo też w sześcioboku, osadzonych na lekkim podwoziu. Napęd rakietowy pocisków zaczyna się paręset metrów po opuszczeniu lufy. Podczas gdy pociski rosyjskich miotaczy stabilizowane są w locie przy pomocy małych skrzydełek, niemieckie posiadają ruch wirujący jak zwyczajne granaty; ruch ten jest im nadawany prawdopodobnie przez lekkie nachylenie rurek wylotowych rakiet. Trzeba wspomnieć, że największą donośność osiągają pociski rakietowe przy kącie 55 — 60 stopni, — a nie ok. 45 st., jak pociski zwykłe.

Korzyść używania tego rodzaju sprzętu jest oczywista, gdy się zważy że taki miotacz o 6 lufach waży kilka razy mniej niż haubica, a strzela na raz sześcioma pociskami. Bomby te, nie będąc narażone na ogromny wstrząs przy wystrzale, mogą mieć znacznie cieńsze ściany, a za to zawierać dużo materiału wybuchowego. Należy więc przewidywać, że wszędzie tam, gdzie będzie chodziło o wielką koncentrację ognia, nowy ten sprzęt będzie skutecznie zastępował a może nawet i wypierał dotychczasową artylerię — przynajmniej, w zakresie bezpośredniego wsparcia piechoty. W każdym razie już istnieją całe pułki miotaczy, które pod względem siły ognia odpowiadają 3 — 4 pułkom haubic, przy obsłudze nie większej niż jeden pułk artylerii.

Pociski rakietowe zaczynają być stosowane na większą skalę także w lotnictwie, jakkolwiek brak jeszcze bliższych danych na ten temat. Jeśli chodzi o nową niemiecką broń odwetową, przy obecnym stanie techniki wydaje się zupełnie możliwym zbudowanie torped rakietowych o wadze dwu, czterech czy nawet więcej ton, mogących przelecieć 200—300 km. Jednakowoż strzelające tymi pociskami baterie byłyby trudne do ukrycia po rozpoczęciu walki i stałyby się niechybnie w krótkim czasie pastwą potężnego lotnictwa Sprzymierzonych.

Nie uprzedzając dalszego rozwoju zagadnienia stwierdzić jeszcze należy, że na razie przy znanych odmianach sprzętu zarówno szybkość ładowania, jak i donośność mniejsza jest u miotaczy rakietowych niż u zwykłej artylerii polowej.

O ZWROT KSIĄŻEK

Biuro Centralne Y.M.C.A. wypożyczyło w dniu 10 października 1943 obozowi Claro komplet biblioteczny nr 31, zawierający 17 tomów, wśród których znajdowały się między innymi:

Komedia ludzka — Balzac, O miłości — Stendhal, Korzeń życia — Priszwin, Karjera — Niemiłowska, Bethsabée — Benoit i inne.

Komplet ten nie został we właściwym czasie zwrócony a następnie wskutek likwidacji obozu zaginął. Biuro Centralne Y.M.C.A., prosi tą drogą obóz, w którego posiadaniu znalazł się wspomniany komplet, o zwrot jego do Münchenbuchsee, i raz jeszcze apeluje o zwrot wszystkich książek, opatrzonych znakiem Y.M.C.A. lub Bibliotheque circulante des militaires polonais (Biblioteka okrężna internowanych polskich w Szwajcarii).

SPRAWY POLSKIE

POLACY NA OBCZYŹNIE

Zawierucha wojenna rozrzuciła Polaków po całym świecie. Los ich jest różny, zależy bowiem od tego, czy Polak ten opuścił Kraj z własnej woli, by na obczyźnie dalej walczyć z wrogiem, czy też został wywieziony z Polski przez okupantów. Do ostatniej kategorii należą ci najnieszczęśliwsi, którzy zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych lub do przymusowych prac. Wegetują oni w najcięższych warunkach i przemocą zmuszani są do pracy na rzecz śmiertelnego wroga. Niewiele lepsze jest położenie jeńców.

JEŃCY POLSCY W NIEMCZECH

Są szczególnie źle traktowani, co stwierdzić można m. in. na przykładzie płac, jakie otrzymują za pracę. Dzienne wynagrodzenie jeńca (z wyjątkiem Rosjan, którzy otrzymują 35 fenigów) wynosi 70 fen., Polacy zaś dostają tylko 50 fen. Z tej dniówki muszą polscy jeńcy przekazywać 20 fen. na rzecz macierzystego obozu, w praktyce więc bardzo niewiele mają dla siebie i pracują właściwie bezpłatnie.

OPIEKA NAD POLAKAMI W ROSJI

Przedmiotem szczególnej troski całego narodu polskiego są ci Polacy, którzy zostali wywiezieni z Polski podczas okupacji sowieckiej, opieka bowiem nad nimi została rządowi polskiemu uniemożliwiona wskutek zerwania przez Rosję stosunków dyplomatycznych z Polską. W tych warunkach oświadczenie nowego posła australijskiego w Rosji nabiera dla nas szczególnego znaczenia. Oto treść tego oświadczenia:

> »Rząd australijski, który podjął się ochrony uprawnionych interesów Polski w Rosji Sowieckiej, powierzył mi odpowiedzialność reprezentowania nie tylko interesów narodu australijskiego, ale także interesów Polski. Pragnę zapewnić, że w miarę możności będę wykonywał moje zadanie tak w stosunku do Australii, jak i w stosunku do Polski«.

SPRAWY POLSKIE W AMERYCE

Wielu z tych, którzy wyszli z Kraju, znalazło się w Ameryce, by służyć tam sprawie polskiej.

Dzięki nim powstał tam Polski Instytut Naukowy, organizujący współpracę uczonych polskich i amerykańskich. Instytut ten istniał dotychczas tylko w Stanach Zjednoczonych, ostatnio zaś utworzył znany historyk prof. Oskar Halecki jego filię w Kanadzie. Instytut posiada sekcję badań historyczno-politycznych, historyczno-literackich, sekcję prawną i ekonomiczną, sekcję nauk ścisłych i wydział pedagogiczny.

W Bibliotece Publicznej w Nowym Yorku otwarto wystawę dzieł uczonych polskich, którzy zginęli w latach 1939-41. W ten sposób uczczono pamięć prof. Estreichera, Bartla, Chrzanowskiego, Kołaczkowskiego, Siemieńskiego, Burschego, Rybarskiego, Zakrzewskiego, Gołąbka, Nowaka, Smoleńskiego, Ormickiego i Boya-Żeleńskiego.

Na terenie Ameryki działa jedyny dzisiaj polski teatr zawodowy pod kierownictwem artysty scen polskich Ossetyńskiego. Do zespołu należy m. in. znany dramaturg Cwojdziński, a dział dekoracji prowadzi doskonała malarka, Irena Lorentowicz.

Poważną rolę propagandową spełniają również występy sławnego już dzisiaj pianisty Witolda Małcużyńskiego oraz znakomitych śpiewaków, Jana Kiepury i Pawła Prokopieniego.

Jednym z licznych dowodów popularności sprawy polskiej w Ameryce jest zbiór poezji, który poetka kanadyjska Audrey Alexandra Brown poświęciła »nieśmiertelnej sławie narodu polskiego«. Zbiór zawiera m. in. piękny poemat »Do Chopina«, poświęcony obronie Warszawy. Wspomniana poetka była wielce pomocna przy uzyskaniu zgody rządu stanu Brytyjska Kolumbia (Kanada) na nadanie jednemu ze szczytów w górach Skalistych nazwy »Mount Warsaw« — Góra Warszawa. (Widok tej góry malował ostatnio Rafał Malczewski).

POLACY W WIELKIEJ BRYTANII

Na terenie Wielkiej Brytanii zyskujemy też sporo przyjaciół. W Szkocji powstało np. Towarzystwo Szkocko-Polskie, które liczy obecnie ponad 12000 członków. Posiada ono 16 oddziałów w większych miastach i 29 pododdziałów na prowincji. Prócz zbliżenia kulturalnego Towarzystwo dąży do nawiązania kontaktów przemysłowo-handlowych, które mają w przyszłości odegrać poważną rolę w polskim handlu zagranicznym.

Na przyjęciu, jakie Towarzystwo wydało dla ambasadora brytyjskiego przy rządzie polskim, powiedział on m. in.: »Przybycie Polaków do Szkocji wywołało tu prawdziwy wyścig gościnności« ... »Serdeczność Szkotów ulżyła z pewnością doli żołnierzy polskich, trapionych niepokojem o swoich najbliższych«.

Skutki tej serdeczności nie dały na siebie długo czekać. Wielu Polaków pożeniło się z Angielkami i Szkotkami. Już teraz myślą one o tym, co będą mogły w przyszłości zrobić dla swej nowej ojczyzny, wiele z nich wzięło więc chętnie udział w kursie w Edynburgu, przygotowującym je do nauczania języka angielskiego w szkołach polskich po wojnie.

Ciekawe światło na życie Polaków w Wielkiej Brytanii rzuca założenie zakładów naprawy statków. Zakłady te, pod firmą »Bałtyk S. A«, zatrudniają wyłącznie polskich robotników, przeważnie marynarzy, którzy ze względu na stan zdrowia nie mogą już pływać. Współudziałowcami »Bałtyku« są oficerowie i marynarze polskiej marynarki handlowej, którzy w ten sposób lokują swe oszczędności. Po wojnie zakłady przeniesione zostaną do Polski.

Nie brak też humoru. Reprezentuje go m. in. popularna »Lwowska Fala«, występująca z programem w języku angielskim. Dobrze, że Brytyjczycy dowiadują się czegoś o Lwowie z tak dobrego źródła!



SZWEDZKA GOŚCINNOŚĆ

Przebywający w Szwecji Polacy cieszą się dużą życzliwością nie tylko miejscowego społeczeństwa, ale i władz państwowych. Młodzież polska korzysta m. in. z możliwości kształcenia

się. Polskie gimnazjum w Sztokholmie wydało w roku bieżącym świadectwa dojrzałości pięciu polskim maturzystom. Uroczystość wręczenia świadectw odbyła się w Poselstwie R. P. w Sztokholmie w obecności szwedzkiego wiceministra oświaty Knoes'a i delegata politechniki w Sztokholmie, p. Philip'a.

Liczba pięciu maturzystów — porównując ją z faktem wypuszczania przez Polskie Liceum w Wetzikonie corocznie kilkudziesięciu maturzystów, — jest nieduża, niemniej dzienniki w Sztokholmie ogłosiły obszerne sprawozdania z uroczystości maturalnej, życząc młodym Polakom, aby dyplomy uniwersyteckie uzyskali w wolnej Polsce.

POLACY NA WĘGRZECH

Dość liczni wychodźcy polscy na Węgrzech cieszą się również wielką życzliwością otoczenia. Poniżej podajemy charakterystyczne ogłoszenie, zamieszczone w budapeszteńskim »Tygodniku Polskim« z 21 listopada 1943:

»Pewna fabryka maszyn na Węgrzech wyraziła zgodę na przyjęcie 20 młodych Polaków celem odbycia praktyki. Fabryka oddaje do dyspozycji praktykantów maszyny, materiał, wszelkie potrzebne narzędzia oraz 2 inżynierów Polaków jako instruktorów. Czas trwania kursu wynosić będzie 6 miesięcy. W ciągu 3 pierwszych miesięcy praktykanci pracować będą bezpłatnie, następne trzy miesiące za wynagrodzeniem. Dzień pracy obejmować będzie 6 godzin zajęć praktycznych i 2 teoretyczne. Spośród zgłoszonych praktykantów fabryka przewiduje przeszkolenie 5 ślusarzy, 5 tokarzy, 5 spawaczy i 5 frezarzy«.

O POLSCE... W CHINACH

W Chinach znajduje się znana powieściopisarka Maria Rodziewiczówna, której udało się zbiec z Hongkongu już po inwazji Japończyków. Na zjeździe YMCA w Czunkinie (Chungking) Rodziewiczówna wygłosiła odczyt o tragedii narodu polskiego.

Z ŻYCIA OBOZÓW

Dürrenroth-Sumiswald

Dowódca rejonu zawiadomił nas osobiście o mającej się odbyć 31. X w Huttwilu, a 1. XI w Sumiswaldzie uroczystości. Przybyło wielu, niektórzy nawet z odległych obozów. Nabożeństwo odprawił ks. dziekan Św Żołnierze odśpiewali kilka pieśni. Bierzmowanie zakończyło kościelną część obchodu. Nastąpiła zbiórka, raport i wspólny obiad.

Nazajutrz spotkaliśmy się w Sumiswaldzie. Po zbiórce przed świetlicą pomaszerowaliśmy na cmentarz, odwiedzić kolegów, którzy tam leżą. Stanęliśmy w wojskowym szyku przed ich grobami. Zapalono świeczki na kamiennych płytach grobowych, złożono wieńce. Po minucie milczenia zabrzmiała uroczyście „Rota“.

Po powrocie do świetlicy wysłuchaliśmy przemówienia por. Jas., a kpt. Now. wyświetlił film „Rzym — miasto otwarte“. Dziękowano im obu za pracę, której nie skąpią, by od czasu do czasu urozmaicić nam życie na internowaniu. *Roman N.*

Vuissens

Spłynęliśmy spod niebios jezior Czterech Kantonów na wyspę fryburską, oblaną morzem woduańskim. Dość dziwnym może się wydawać: w Szwajcarii i na wyspie. Patrząc jednak na mapę łatwo jest odnaleźć miejsce naszego pobytu. Szybko zdołaliśmy zbadać tę tajemniczą wyspę, stwierdzając ze zdumieniem, że znajduje się tu tylko jedna miejscowość, właśnie Vuissens, jako stolica garstki tubylców i nas — kilkudziesięciu zesłańców. Jak się okazało zostaliśmy ściągnięci jako „dobrze znani fachowcy“ do odwadniania gruntów, podmywanych przez burzliwe fale, dobrze nieznane mieszkańcom.

Przy pracy nie możemy urządzać sabotaży, musimy unikać... zalewania się, dlatego też pracujemy chętnie i ku ogólnemu zadowoleniu. Mimo dobrze do nas nastawionej ludności czujemy się osamotnieni, co się tłumaczy trudnym do nas dojazdem. Brak jest rozrywek. Poza pracą spędzamy czas w pokojach sypialnych, komfortowo urządzonych. Póki było ciepło, jedyną przyjemność sprawiały nam wypady na brzegi naszej wysepki celem podpatrywania życia i zwyczajów często się tam ukazujących... rusałek. *O. T.*

Wangen a/A.

Jak donoszą „Emmenthaler Nachrichten“ (Münsingen) kobiety z Wangen przejęły na siebie troskę o bieliznę internowanych z obozu Berken. Raz w tygodniu w określonym dniu zbierają się kobiety i dziewczęta w budynku szkolnym dla cerowania skarpetek, podczas gdy bieliznę zabierają dla naprawy do domu. Jest to jeden z wielu chwalebnych objawów opieki kobiet szwajcarskich nad internowanymi.

Burgdorf

Któryż z nas nie popadł choć raz w nastrój przygnębienia na sam dźwięk wyrazu „akademia“? Wiemy wszyscy, jak nudny bywa czasem nastrój oficjalnych uroczystości i chociaż w duchu klęliśmy te wszystkie akademie, to przecież bądź z obowiązku, bądź dla stwierdzenia solidarności narodowej podążaliśmy na miejsce parogodzinnej kaźni przewlekłych mów. Nie inaczej zdarzało się i na obczyźnie.

W podobnym nastroju szedłem i teraz na „akademię obozową“. Z góry przewidywałem program: przemówienie, deklamacje, naturalnie chór obozowy z pretensjami do artyzmu, przemówienie końcowe, hymn i — westchnienie ulgi: wreszcie koniec!

Przewidywania nie zawiodły. Oczywiście przemówienie, lecz tu już czekała niespodzianka. Bez taniego patosu, po prostu i po ludzku stwierdzona konieczność osiągnięcia już teraz wysokiego poziomu w pracy, by potem móc bez zwłoki przystąpić do budowy i odbudowy we własnym kraju. Nie bajanie o tym i o owym, lecz wskazanie na osiągnięcia młodego i prężnego narodu w czasie dwudziestu lat niezawisłego bytu. Toteż oklaski nie były wyrazem radości i podzięki mówcy, że skończył, lecz że w ten właśnie sposób przemówienie swe ujął.

Naturalnie były i deklamacje (słabe), były popisy muzyczne. Nie podejmuję się mówić o poziomie artystycznym wykonawców, jako że nigdy nie byłem krytykiem muzycznym, określenia zaś „allegro-moderato“ mają dla mnie urok tajemnych zaklęć. Dla mnie, jako dla słuchacza, zasadnicza odrębność tych produkcyj polegała na tym, iż wykonawcami od początku do końca byli amatorzy, żołnierze obozu i że we wszystkim najżywszy udział brała żołnierska publiczność. Stworzyło to wyjątkowy nastrój na sali, powiedziałbym: atmosferę uroczystości rodzinnej. Mały przykład: chór zaczyna „Warszawiankę“ — śpiewa cała sala, inne pieśni również. Cała sala jest chórem. I proszę nie myśleć, że byli w „świątecznych“ humorach, albo że było to przewidziane programem. Sama akademia była improwizacją niemal ostatniej godziny, dzień zaś

naszego święta narodowego miał być święcony pracą i każdy prawie wprost z pracy przyszedł na akademię.

W obozie jestem krótko. Nie wszedłem w pełni w jego życie „prywatne", ale już po paru dniach zwrócił moją uwagę dość rzadki w naszych obozach prąd pracy artystycznej i to na polu muzycznym. Jakkolwiek jądro jest małe (dwoje skrzypiec i wiolonczela), już dziś może się ono poszczycić sukcesem, jakim było niewątpliwie zaproszenie zespołu przez miejscowego proboszcza do odegrania kilku utworów w kościele na Boże Narodzenie. Dalszym dowodem była b. liczna obecność żołnierzy na koncercie fortepianowym prof. Turczyńskiego, którzy nie tylko byli uważnymi słuchaczami, lecz nawet wdali się w... krytykę. Tak jeden z obecnych po prostu „zastrzelił" mnie „teorią lewej ręki". Nie to jest jednak ważne, lecz stwierdzenie faktu, co może zdziałać dobra wola jednostki zdobywającej dla muzyki nowych wyznawców.

Czy nie warto by spróbować również na innych odcinkach? *Ewu*

Peilerwald

Oderwana grupka zebrała się na st. Pfäffikon, udając się w nieznane. Na twarzach maluje się niepewność, gdzie też kapryśny los rzuci tych turystów z przymusu. I, o zły losie... właśnie Graubünden. W Chur zaczęło się. Rhatische-Bahn ciągnie nas do Rodels. Wysiadamy, — mowią nam, że tu oboz, ale obozu wcale nie widać: grube konary starych świerków przykryły płaskie dachy baraków, otuliły swym igliwiem bezdomnych wygnańców. Po paru dniach odpoczynku wyruszamy do Ilanz. Zupka i dalszy wymarsz... Ruch. Ostatnie zakupy. Mówią, że tam ludzi i Boga nie ma, ale cóż robić — trzeba iść. Gorące słońce czerwcowe wskazuje drogę do Vals, a to aż 20 km od Ilanz. Po 4-godzinnym marszu dobijamy jednak do Vals i pytamy, jak daleko do obozu? Uprzejmie wskazują nam drogę.

Przed nami piętrzy się ładna górka, którą trzeba jeszcze zdobyć, aby dostać się do Peilerwald. Na miejscu — jak zawsze na początku — kłótnie o słomę, szukanie miejsc. Następnego dnia oglądamy miejsce pracy. Wprawdzie widać ścieżynę, znać, że tu kiedyś była droga, lecz obecnie leżą na niej głazy — drogę trzeba naprawić. Na jednym z głazów przydrożnych widzimy napis „Viamala-Polonorum". Tak, rzeczywiście że Viamala.

W obozie wszędzie ruch. Wskazują nam, jak poprawić bruk przed świetlicą, gdzie postawić maszt. Jak zwykle w górach apetyt doskonały, a tu dodatek górski tylko przyobiecany, bo podobno jeszcze za nisko (tylko 1700 m!). Baca, stary kucharz, nie pokazuje się do baraku, bo się boi kolegów.

Zaczynamy pracować, bo rzecz najpilniejsza to zrobienie drogi zdatnej do przejazdu, gdyż inni mają wkrótce dobić do Peilerboden. Por. S. mówi „na otarcie łez", że to „tylko" dwa miesiące. Ach, jeżeli tak, to jeszcze można wytrzymać. Apetyty się unormowały, droga wygląda możliwie, ciągle jeszcze słychać ciężkie wybuchy: to saperzy z uczniami artylerzystami i parkowcami bombardują skały Peilerwaldu.

A dziś... Dziś turysto czy turystko patrz, czy poznasz tę ścieżynę? Piękna droga. Rzekłbyś — nieomal autostrada, tylko że z dwóch miesięcy zrobiło się 5. Już nam się nawet nie chce rozmawiać — kiedy wyjedziemy, bo to i tak nie pomoże. Pomógłby tylko śnieg, lecz ten jak na złość nie chce padać. Teraz, po tych pięciu miesiącach (sprawozdanie pisane 20. XI ub. r. Przyp. Red.) trzeba sobie powiedzieć, że nie ma miejsca, gdzie by się człowiek nie przyzwyczaił, że my, robotnicy umundurowani, nawet skały czasem potrafimy zrozumieć, bo je zrozumieć musimy. I pomimo tego, że tak długo siedzimy przy kagankach, że nie mamy radia i że nawet autobus już nie dochodzi do Vals — zawsze jesteśmy tymi, co czują swą wspólnotę z daleką, za górami i lasami, Nieśmiertelną, do której bez przerwy zdążamy.

A. M. „Pawełek"

Prâz

To wieś na Heizenbergu, a nad nią umieszczony dziwnym kunsztem mały barak. Dzięki umiejętnościom szefa sprasowano nas w nim trzydziestu siedmiu. Oto cały obóz. Zresztą bardzo wesoły, bo nic w nim prócz ludzi wraz z ich gratami nie ma. Ani świetlicy ani radia (mamy natomiast lampy naftowe i widok na elektrownię koło Sils); gazety owszem, przychodzą, ale z regularnym opóźnieniem kilku dni. Na dodatek mamy kapitalnego kucharza, posiadającego ten przedziwny dar, że z różnych produktów przyrządza potrawy o jednakowym zawsze smaku.

Ścinamy drzewa, no i czekamy — tymczasem na to, kiedy wreszcie przychylniejsze wiatry zwieją nas niżej, aby móc napisać list przy świetle elektrycznym, posłuchać radia, czy wreszcie choć parę razy do roku wybrać się do kina. *zet. em.*

Gibswil

30 maja pluton w składzie 1 + 20 wydzielony został z obozu Pfäffikon do Gibswilu na roboty rolne. Tu trzeba zaznaczyć, że większość naszego batalionu (III/4 W.psp.) kręci się już od trzech lat wokoło powszechnie znanego Bachtlu, toteż ochoczo powracaliśmy w stare kąty.

Praca jak wszędzie: kartofle, marchew, brukiew... Stan psychiczny? Czy uwierzycie, że część żołnierzy chciała rozpocząć listę ochotniczych zgłoszeń na przedłużenie internowania?! Ale okazało się, że na nazie jest to zbyteczne, gdyż w czasie odwiedzin naszego przełożonego z laseczką internowanie... zostało przedłużone o rok.

Z końcem listopada opuściliśmy Gibswil, powracając do Fehraltorf, gdzie powitała nas większość batalionowej wiary.

PODZWONNE

109*) Śp. strz. BROŻYŃSKI Stanisław, ur. 1897, zmarł 8. 12 ub. r. w obozie Lignières. Był żołnierzem 5 M. psp.

110. Śp. chor. ZIEMIŃSKI Władysław z 2 Kan. baonu saperów, ur. 1899 w Warszawie, zmarł 2. 12 ub. r. w szpitalu „Vogelsang" w Bienne. Pochowany na cmentarzu Madretsch w Bienne.

111. Śp. strz. JĘZYK Franciszek z 6 K. psp., ur. 1902 w m. Sokół, pow. Tarnobrzeg, zmarł na udar serca 13. 12 ub. r. w obozie Giswil-Sarnen. Pochowany został na cmentarzu w Giswil (Oberwald).

112. Śp. kan. PAWŁOWSKI Jan z 202 pac., ur. 1907 w Drozdowicach, pow. Przemyśl, zmarł 24. 11 ub. r. w szpitalu w Solurze, pochowany we Flumenthalu k. Solury.

113. Śp. kapr. CHANAJ Stanisław z 4 W. psp., ur. 1909 w Palikijach, pow. Lublin, zmarł 18. XI ub. r. w obozie w Rodels, pochowany w Cazis (Graubünden).

114. Śp. st. strz. GASZEK Ludwik z 6 K. psp., ur. 1919, zmarł 11. XI ub. r. w Inselspital w Bernie i w Bernie został pochowany.

Cześć Ich pamięci!

SPROSTOWANIE: Wspomniany w nr 23 (79) „Gońca obozowego" z dn. 1. 12. 43 śp. CYROŃ Alojzy był nie aspirantem lecz ppor. 5 M. psp.

*) Numeracja obejmuje żołnierzy 2 DSP, zmarłych w Szwajcarii.

NASZE GAWĘDY

Co bym zrobił w rodzinnej wsi

Wielu z nas zwędrowało kawał świata, niejednemu przypatrzyliśmy się na obczyźnie i niejedno głęboko zapisało się w pamięci. Ten i ów, wróciwszy kiedyś do domu, może zostanie z czasem radnym lub sołtysem i będzie sobie przypominał co widział w świecie, a co przydałoby się i w jego rodzinnej wiosce. Pewnie, że niejeden myśli, iż zostać radnym — to znaczy mieć głos i zaraz rozkazywać. Tak jednak nie jest. Niejeden sądzi, że warto zostać sołtysem, aby u niego za darmo lub półdarmo biedniejsi pracowali, gnój wozili, sieczkę cięli, kosili czy młócili. Są i tacy, co by zaraz chcieli oświecać drugich i pokazać im, że dotąd źle robili, a to na nic. Ludzi nie trzeba ganić ani się na nich złościć, lecz przyznać, że są mądrzy i dlatego mogą jeszcze lepiej coś wykonać, niż dotąd robili. Aby jednak zdobyć posłuch i szacunek, a potem stanowisko, trzeba najpierw wykazać, że na własnym gospodarstwie umie się utrzymać porządek. Nie wystarczy chwalić się, że się było za granicą.

Ja gdybym wrócił i mógł zacząć gospodarkę na ojcowiźnie, to najpierw ponaprawiałbym dachy budynków, wyłożył podwórze płytkami, wycementował zbiornik na gnojówkę i wykopał studnię na podwórzu. Naprawić parkany, doprowadzić do porządku uprząż i narzędzia rolnicze, to sprawy pierwszego rzędu. Bo ludzie po tym gospodarza szacują. Czy ma wszystko pod dachem, czy bydło czysto utrzymane, na czas karmione i pojone, czy się człek nie włóczy po jarmarkach i sądach, czy odzież ponaprawiana i guziki przyszyte, czy się kupuje za gotówkę czy na kredę i u kogo — to wszystko bardzo ważne.

Ponieważ łatwo popaść w długi, dlategom postanowił prowadzić rachunki. Każdy wydatek i przychód. Każdy dług z terminem zapłaty natychmiast zapisać w zeszycie. Wtedy się ma kontrolę nad wszystkim, a jak z własnym gospodarstwem tak i z gromadzką sprawą.

W gromadzie starałbym się, aby Polacy i Rusini (bo w mej wsi ludność mieszana, jak w ogóle na Podolu) żyli w zgodzie, jak to dawniej bywało. Niech każdy kocha swoje i szanuje cudze — a zapanuje zgoda w narodzie. Starałbym się, aby choć jeden dzień wszyscy razem świętowali, np. dożynki, oraz by po dawnemu ludzie pozdrawiali się słowem Bożym, a nie cygańskim »dzień dobry«. Ponieważ w naszych stronach czasu niepogody straszliwe błota, przeto namawiałbym sąsiadów do szutrowania drogi. Każdej jesieni po robotach można by spory kawał drogi sprawić, rowy wykopać i brzegi drzewami obsadzić. Takie drzewa, gdy przyjdą zimowe zadymki i zasypią drogi, są najlepszym drogowskazem i ochroną przed błądzeniem. A gdyby państwo przeznaczyło na ten cel niemożliwe do ściągnięcia grzywny, by je gmina zamieniła na robociznę, to by i ludność i kraj mieli pomoc z tego i pożytek. W ogóle dużo bym sadził drzew. Po ogrodach i miedzach polnych. Jakaż to wygoda w czasie żniw z taką gruszą polną na miedzy! Spocząć w cieniu, zjeść posiłek i dać przystań ptactwu, co wydziobuje robactwo i szkodliwe owady. Szkółkę drzewną może zaś każda gromada mieć bez kosztów.

Albo np. studnie po polach. Jak to przykro w lecie, gdy się chce pić, gdy konie w pługu spragnione, a do wody kilka nieraz kilometrów! A studnie można wspólnymi siłami w czasie wolniejszym od pracy pokopać i obmurować. Polowy miałby i nad nimi i nad drzewami opiekę. Dużo by to czasu oszczędziło i ulżyło później w pracy.

Jako radny czy sołtys dążyłbym do założenia w mej wsi mleczarni i sklepu spółdzielczego. Bardzo by się nam przydała też łaźnia i stacja sanitarna. Felczer dla pierwszej pomocy bydłu i pielęgniarka dla ludzi. Mogłaby ona prowadzić latem i ogródek dziecięcy. Dotąd TSL (Towarzystwo Szkoły Ludowej) urządzało półkolonie dla dzieci i dobrze było, że młodzież się nie wałęsała po drogach i cudzych ogrodach Wieś potrzebuje dużo różnych ludzi, jak np. kwalifikowanej położnej (akuszerki), listonosza, policjanta, organisty i rzemieślników. Gmina mogłaby oddać do terminu niejednego biednego chłopca czy dziewczynę, by mieć z nich dobry pożytek. Bardzo ważny jest też we wsi urząd taksatorów i opiekunów społecznych; ci ostatni mają się troszczyć o sieroty. Opiece ich powierzyłbym i dom dla ubogich, gdzieby podróżny mógł przenocować. Ale dom trzeba najpierw wybudować.

Felczerowi oddałbym w opiekę cmentarz, jak również grobowisko dla padłych zwierząt; nie zapomniałbym i o nocnej warcie. Zwłaszcza w zimie to ważne, bo wtedy z braku pracy parobczaki dokonują najwięcej kradzieży.

Pewnie, że czytelnie i straż pożarna i ustęp gromadzki to rzeczy niemałej wagi, zarówno jak spółdzielnia narzędziowa, młyn czy cegielnia, nie mówiąc już o szkole, zwłaszcza o szkole dla dziewcząt, dla nauki jak dom prowadzić i jak się obchodzić z niemowlęciem. Najważniejszy jednak byłby dla mnie zegar. Taki zegar na kościelnej czy cerkiewnej wieży, jak w każdej wsi szwajcarskiej, taki co dzwoni co kwadrans. Wie się kiedy dzieci posłać do szkoły, kiedy doić krowy, jak długo ma się piec chleb, kiedy na nabożeństwo czy przedstawienie, kiedy do pracy, a kiedy czas na posiłki i odpoczynek dla ludzi i zwierząt. Taki zegar to dzwoni jak te dzwony w sumieniu i przypomina, że czas ucieka i życie przemija. A tak dużo jest jeszcze do zrobienia w każdej wsi i w każdym miasteczku.

Ale co zrobić, gdy zamiast rodzinnej wsi czy ojcowej zagrody zastanę kupę gruzów?

WALENTY ROZWORA
(Albisbrunn)

MUZEUM POLSKIE w Rapperswilu podaje, że cenę książki Wellisza »Une amitié polono-suisse« zniżono z fr. 5.— na 3.50 fr.

Muzeum ma na sprzedaż ograniczoną ilość broszurki Oskara Haleckiego pt. »Pologne«. Str. 32. Cena 50 cts. Tytuły rozdziałów broszurki Haleckiego:

Polska i Europa, Cywilizacja polska, Idea jagiellońska, Dlaczego nastąpił rozbiór Polski? Dlaczego Polska zmartwychwstała?, Pokój i praca, Nowe cierpienia.

Szkoci, Polacy i grzyby

(DP) Od paru miesięcy prasa szkocka interesuje się żywo grzybami. Oto w skrócie przebieg całej kampanii.

F a z a 1. Polacy są fenomenalnie twardym narodem! Nie tylko nie wydają żadnego Quislinga, ale i jedzą grzyby. Polacy nie boją się ani Niemców, ani trudnych rzeczy!

F a z a 2. Polacy twierdzą, że nie wszystkie grzyby są trujące! Od dziecka uczą się w szkołach rozpoznawania nietrujących grzybów od trujących. Zapewniają, że wielu ludzi dożyło w Polsce sędziwego wieku mimo jedzenia grzybów.

F a z a 3. A dlaczego, my Szkoci, nie mielibyśmy jeść grzybów? Przecie w naszych lasach marnuje się olbrzymia ilość żywności! Tysiące ton! Jaka ulga dla naszych marynarzy!

F a z a 4. Szkoci będą jeść grzyby! Wszędzie zostaną utworzone kluby grzybowe. Zawody w grzybobraniu będą równie emocjonujące co w łowieniu ryb, lub w hodowli kapusty. Do klubu na instruktorów zbierania i rozpoznawania grzybów prosimy Polaków, którzy mają we krwi znajomość tych trudnych rzeczy!

Jeśli wojna się nie skończy prędko, to można być pewnym, że na nasze wojsko w Szkocji spadnie nowy, poważny obowiązek.

Realista

(DP) 76-letni Mr Dorm poślubił 21-letnią dziewczynę. Składając mu serdeczne gratulacje przyjaciele pytali życzliwie:

— Czy można mieć nadzieję na dziecko?

-- Można mieć co do tego obawy! — odpowiedział doświadczony gentelman.

Dowcip angielski

(DP) Anglicy przepadają za dowcipami nieprawdopodobnymi. Oto dwie historyjki, które na jednym z konkursów uzyskały pierwsze nagrody:



* * *

Dwaj zgłodniali żołnierze na placówce w pustyni widzą wielkiego ptaka, kołującego nad ich głowami.

— Strzeliłbym, ale nie wolno! — mówi jeden.

Drugi wygarnął z karabina, ptak rymnął o ziemię jak kamień.

— Świetnie — zawołał kolega — ale po co, idioto, strzelałeś? Przecież ten ptak i tak by się zabił od samego upadku.

* * *

Jeden marynarz, chcąc zaimponować dziewczynie na dancingu, opowiada:

— I nagle ujrzeliśmy ogromną torpedę, mknącą prosto na nasz statek...

— Wielki Boże — wykrzyknęła dzieweczka — mam nadzieję, że to była jedna z naszych!

W Wiesendangen

Internowany leży w łóżku. Sanitariusz mierzy mu gorączkę i mruczy:

— 40 stopni!

— Północnej czy południowej szerokości? — majaczy chory.

Nieostrozna ostroznosc

Ostrożność jest matką mądrości. A więc mądrość jest córką ostrożności. Ojciec jest jednak nieznany. Z tego widzimy, że i ostrożność raz musiała być nieostrożna.

Polityka

Oskarżony: — Cały mój udział w tej awanturze to tylko chęć, aby nastał pokój.

— I przy tym biliście tego człowieka tak długo, aż padł nieprzytomny?

— Tak! Bez tego nie mogłoby dojść do pokoju!

WESPAZJAN KOCHOWSKI
(1633–1700)

Dziwne

Bóg człeka z gliny stworzył, piszą historyje;
Jakoż on nie rozmięknie, gdy ustawnie pije?

IGNACY KRASICKI
(1735–1801)

Filozof

Zaufany filozof w zdaniach przedsięwziętych
Nie wierzył w Pana Boga, śmiał się z wszystkich świętych.
Przyszła słabość, aż mędrzec, co firmament mierzył,
Nie tylko w Pana Boga, i w upiory wierzył.

Dla „jedynej"

Panienka w papeterii:

— Tu jest specjalnie ładna pocztówka z napisem: „Herzlichen Glückwunsch der einzigen, die ich je geliebt!“

Internowany: — Bardzo ładna, proszę mi dać pół tuzina.

Za kazdym razem...

— Mamo! Pomyśl sobie, jakiś bezczelny internowany ośmielił się mnie całować!

— Straszne! Naturalnie okazałaś mu swe oburzenie!

— Za każdym razem, mamo.

Ostrozna

Pewna niewiasta uskarża się przed swoją przyjaciółką:

— Taka jestem osłabiona, dzień i noc nie mogę spuścić oka z mego męża. Jest chory.

— Nie masz pielęgniarki?

— Mam. Właśnie dlatego.

Logika dzieci

Tatusiu, czy to prawda, że człowiek powstał z prochu?

— Tak jest, kochany.

— W takim razie Murzyn powstał z miału węglowego.

Zgodzil sie

— Wzywam cię po raz ostatni do zwrócenia mi dziesięciu franków.

— Chwała Bogu, nareszcie będę miał spokój.

Ostrzezenie

O ile internowany, który był widziany w noc sylwestrową w lesie z kobietą, nie zaprenumeruje natychmiast „Gońca Obozowego“, nazwisko jego zostanie opublikowane lub podane do wiadomości ortschefa.

Czarna ręka

ADRESY: Redakcja: Rédaction du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau).
Ekspedycja: Expedition du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau), nr telef. 2.15.71.
Wpłaty dla „Gonca Obozowego“ (na blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung – III, 13212, Bern.

Cena „Gonca Obozowego“:

dla oficerow i aspirantow	Fr. 0.30
dla podoficerow i szeregowcow	Fr. 0 20
dla osob cywilnych (kwartalnie)	Fr. 1.80

L'Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major C O R R E V O N
Commissariat Fédéral à l'Internement
Poste de campagne 17